

Katarzyna Przyłuska-Urbanowicz

# Filozofia niemożliwa. Jolanta Brach-Czaina, *akademia i dół materialno-cielesny*

„Nie należy pomijać oddychania, gdy przeszukujemy dostępne źródła wiedzy”.

Jolanta Brach-Czaina, *Błony umysłu*

„Trzeba zbadać każdą rzecz z osobna, zważyć ją i zmierzyć, określić stopień zużycia, braki i uszkodzenia; trzeba dokonać przewartościowania i przeceny; wiele pustych fikcji trzeba wykreślić z bilansu rocznego, który winien być realny i czysty”.

Michail Bachtin, *Twórczość Franciszka Rabelais’go a kultura ludowa Średniowiecza i Renesansu*

Kiedy w ósmym miesiącu pierwszej ciąży, tuż przed egzaminem doktorskim z filozofii, siedziałam w bibliotece uniwersyteckiej i nieporadnie próbowałam pomieścić majestatyczny już brzuch między obolałym nieco kręgosłupem a *Fenomenologią ducha*, mój umysł drwił sobie ze mnie, do znudzenia mantrując głupawą – jak mi się wtedy zdawało – rymowankę: „Hegel – Kegel – Hegel – Kegel”. Georg Wilhelm Friedrich spotykał się w niej ku swemu zdumieniu z ponad 120 lat młodszym Arnoldem Henrym niczym z kuriozalnym przezwiskiem. I, bądźmy szczerzy, było to zderzenie o wiele bardziej zuchwałe niż mariaż Hegla z Haiti w słynnej książce Susan

Buck-Morss, zderzenie godne porównania raczej z psikusem starej wersji Worda, uparcie poprawiającego mi niegdyś „Lacana” na „Pacana”. Mój rymotwórczy tupet połączył wtedy jednak niechący (a może chcący) wyżyny myśli z dnem miednicy, zwiewność abstrakcji – z siłą mięśni. Dokonał rzeczy, która w tamtej chwili w sensie technicznym dokonać się właśnie nie mogła, bo brzuch przeszkadzał mi w przysunięciu się do stolika, na którym leżała *Fenomenologia ducha*. A że poza obszarem stolika światło było słabe, musiałam skapitulować wobec manifestującej się szyderczo zasady nieoznaczoności: przyszło mi wybierać między wygodną pozycją a wyraźnym widzeniem tekstu; między szacunkiem dla swojego ciała a szacunkiem dla myśli Hegla; między dwoma parametrami, których – mimo usilnie czynionych ergonomicznych kompromisów – nie dawało się uchwycić z wystarczającą precyzją jednocześnie.

Nie przypuszczałam wtedy jeszcze, że sprawa jest bardzo poważna. Nie wiedziałam, co doświadczenie porodu, położu i rodzicielstwa zrobi ze wszystkimi przyswojonymi przeze mnie wcześniej lekturami akademickimi. Że je wystrzeli – niemal wszystkie – lata świetlne poza orbitę mojej percepcji, jakby nagle nic nie ważyły. Że dostojny *corpus* dzieł bardzo szybko stanie się rozmontowanym korpusikiem, kruchą zabawką z Tigera. Nieoczekiwanie znalazłam się w dziwnej pozycji wobec całej wchłanianej dotychczas mądrości – wysiedzianej w czytelnich, wykopiowanej w punktach ksero, wystanej w kolejkach, wysłuchanej na wykładach i konferencjach, wysłędzonej online i offline. W tamtej chwili nie mówiła mi nic ważnego. Ale też straciłam ochotę, by ją o cokolwiek pytać, bo nasze języki stały się tak odległe, że przy próbie przekładu znikłoby wszystko, co istotne.

A przecież, nie mogłam mieć wątpliwości, właśnie przeszło przeze mnie, z całą intensywnością, życie. Coś prawdziwie poznałam, w coś zostałam wtajemniczona. Była to wiedza osobliwa, niemal nieuzgadnialna z dyskursem naukowym, groteskowa i wprawiająca w nagle zażenowanie jak naklejka ze Świnką Peppą, odkryta kiedyś niespodziewanie na tylnej kieszeni spodni po zajęciach akademickich. Wiedza zdecydowanie nie na miejscu. Prywatna, niehigieniczna i nieelegancka. Wyjawiana szeptem i poprzedzana pełnym zakłopotania „nie wiem, czy ty też tak masz”. Intymna, choć powszechna.

Oto bowiem, za przeproszeniem, zatarły się moje granice. Pojęcia „wnętrza” i „zewnętrza” ujawniły swoją wątłość. W położu nawet *panta rhei* wydaje się zbyt zdystansowane, zbyt rzeczowe, zbyt obserwacyjne. Bo jesteś wtedy (ty – i twoje dziecko) samymi otworami, przelewasz się, ulewasz, przesączasz, popuszczasz, przeciekasz. Jesteś wszystkim, tylko nie podmiotem, żadną tam *res*, żadną *cogitans*. I wyraźnie wiesz, że to nie chwilowe złudzenie, nie aberracja, nie lokalny wariant ani fizjologiczne odstępstwo od istniejącej gdzieś daleko podmiotowej normy. Przeciwnie: odkrywasz labilną,

niesprawną, półpłynną stronę życia, w której człowiek ma swój początek. A jednocześnie jasne staje się, że właśnie wylądowałaś – cała, wraz z przydatkami – w strefie czyjegos wyparcia. Jesteś abiektem Kartezjusza, Kanta i Husserla. Tu, w miejsce fundamentalnego dla ciebie doświadczenia, w to zalane oksytocyną rozpadlisko, w epicentrum życia, niemal nikt, przynajmniej oficjalnie, nie spogląda, choć zafascynowani są nim wszyscy. Język, którym uczono cię mówić, pisać, zaświadczał o zupełnie innym, cudzym, bezprawnie zuniwersalizowanym doświadczeniu. Historia filozofii daje się spójnie opowiedzieć między innymi dzięki temu, że nie słychać w niej krzyku rodzających, twój krzyk. Z końcowego egzaminu doktorskiego najbardziej pamiętam obawę, czy nie przesiąkną mi wkładki laktacyjne. I była to prawdopodobnie najlepsza możliwa odpowiedź na zadane mi wtedy pytanie o różnicę między *sarks* i *soma*. W somatycznym świecie sama okazałam się „sarktycznym” tworem, który – na przekór wszelkim abstrakcjom – ustawicznie produkował pokarm, chcąc żywić, poić, koić, bez opamiętania napępiać ciałem inne ciało. Trzeba kilka razy przetrzeć oczy ze zdumienia, mocno oprzeć się na swoich nogach, zaufać miednicy i wezbranym piersiom, by uwierzyć, że o tym kawałku świata akademickie sylabusy nie mają do powiedzenia prawie nic.

Prawie – bo przez wiek XX i XXI przebiega gęstniejący z dekady na dekadę ścieg, wcześniej będący niewidoczną nicią: głos zabierają Simone de Beauvoir, Mary Douglas, Luce Irigaray, Susan Sontag, Carol Gilligan, Hélène Cixous, Julia Kristeva czy Élisabeth Badinter. Walczą, by macierzyństwo było wolnym wyborem, ale większość z nich rodzi przeciw dzieci (Douglas, Gilligan i Badinter zostają matkami nawet trzykrotnie). Uczą się, jedna po drugiej i jedna od drugiej, jak publicznie krzyczyć, jęczeć, charczeć i – oczywiście – śmiać się meduzim śmiechem, otwierając szeroko usta i ukazując pełną energii gardziel życia. Ów ścieg, wciąż traktowany jako ozdobnik, jeden z ciekawych wątków pobocznych – lecz na pewno nie jako osnowa – jest czymś, co świat nauki próbuje oswajać i uwzględnić, zwykle jednak ostatecznie egzotyzuje go, wysmiewa jako „modną bzdurę”, banalizuje i rozcieńcza jego tezy, a w najlepszym razie – sprowadza do osobistego zapisku. „Myślałam, że to taka moja książeczka” – powie w 2014 roku Jolanta Brach-Czaina o *Szczelinach istnienia*, zaskoczona entuzjazmem i intelektualnym fermentem, jaki w świecie akademickim wywołał jej zbiór esejów, niemal całkowicie pozbawiony przypisów [Tutak-Goll].

„Gdybym pisała esej o Kartezjuszu, poświęciłabym go gospodyni, która – kiedy koncipował *Rozprawę o metodzie* – prała mu gacie, rozparzona od zbyt długiego przesiadywania pod piecem” – napisze śmiało Eliza Kącka siedem lat później. „Brach-Czaina by mnie zrozumiała” [36]. Jest to plan iście Rabelaisowski, rozwiewający fałszywą powagę, karnawałowy i ludyczny,

zakładający zamianę góry z dołem, przodu z tyłem, centrum z peryferiami [por. Bachtin]. A zatem: zad zamiast twarzy, wydaliny zamiast uładzonego tekstu, pewność gaci zamiast pewności *cogito*, fizyczna praca usuwania cielesnego brudu zamiast bombastycznych deklaracji żołnierza-samochwała, który stara się oczarować dziekana sorbońskiego Wydziału Teologicznego opowieścią o wymagającym odwagi i samodyscypliny filozoficznym eksperymencie. Takie „rozprawienie się z *Rozprawą*” wydaje się na pierwszy rzut oka dość obsceniczne, ale tylko do czasu, gdy zdamy sobie sprawę, że prawdziwie obsceniczne jest uprawianie humanistyki wypatroszonej z wiedzy o cielesności; humanistyki skupionej na głowie i chcącej w związku z tym rozprawiać tylko o kwestiach kapitalnych; humanistyki, która pragnie ogłądać człowieka wyłącznie od strony twarzy, fasadowo – to jest (wybacz, droga Tradycji!) z perspektywy Facebooka. Pragnienia, tożsamościowe aspiracje, całe nasze społeczne *wannabe* oraz zbijany na nim wojenny kapitał zdają się wówczas ważyć więcej niż organiczne wglądy, przepływy, podskórne pulsły i współodczuwania. A przecież „wiedza o bytowaniu dotyczy losów cielesności i sama w znacznej mierze opiera się na bezpośrednich doświadczeniach ciała” [*Blony umysłu* 57].

Urodzenie pierwszego dziecka oznaczało inwazję nowych rodzajów dotyku, bólu, woni i dźwięków. Uczylałam się obcować z substancjami o nieznanym mi wcześniej konsystencji, w tym – z samą sobą. Moją ostrą jak brzytwa koncentrację zastąpiły zaskakujące stany świadomości, możliwe dzięki wielotygodniowemu niedospaniu, upływowi krwi i mleka oraz tępemu wsluchiwanemu w rytmiczne zakłęcia laktatora i transowe pomruki pralki. Bywałam wtedy Mayą Deren, o czwartej nad ranem, zalana białą ciemnością, widywałam moją boginię Erzili. Śniłam, czuwając, i czuwałam, śniąc. Nauczyłam się własnym śpiewem regulować oddech drugiej istoty ludzkiej. Odpływałam w odległe przestrzenie, bezradna wobec halucynogennej mocy niemowlęcego zapachu. I pewnie znacznie częściej niż pamiętam, w tysiącach higienicznych mikrotransów – myłam, podcierałam, osuszałam, zmieniałam pampersy, podkłady, wkładki, podpaski, negocjując z rzeczywistością pewien elementarny porządek; jakiś, przynajmniej z grubsza, podział na byty. Był mi już jednak potrzebny jedynie roboczo, jak fizyka newtonowska. Na zawsze bowiem straciłam do niego zaufanie, skonfrontowana z okoloporodową wiedzą o właściwościach ciał doskonale czarnych czy macierzach gęstości. I od tej trzewnej mechaniki kwantowej, od tego wiwiskcyjnego olśnienia nie było już odwrotu. Poprzedni świat – wybaczcie znowu! – nie trzymał się kupy.

„Jaka arogancja wobec życia” [*Blony umysłu* 112]. Tyle Brach-Czaina mówi na temat myśli Kanta. Zdania nie kończy nawet wykrzyknikiem – a więc traktuje rzecz z politowaniem i współczuciem raczej niż z oburzeniem. Usta-

wiamy „barykady z pojęć, wierzeń, teorii, które wzbraniają nam wstępu do nas” – pisze, już ogólnie, kawalek dalej, by skonstatować: „Tradycja filozofii sugeruje nam straszliwe wyobcowanie ze świata” [113]. Autorka nie traci czasu na szczegółową polemikę, bo ta wymagałaby użycia narzędzi rozpadających się w rękach: wzięcia abstrakcyjnych wywodów serio, uruchomienia hermetycznego języka, rytualnych wstępów, uroczystych refrenów o kryzysie metafizyki, strzelistych odwołań do poprzedników i szczegółowego wykazu ich błędów, pobrzękiwania przypisami jak dzwonekami liturgicznymi, a nade wszystko – utrzymania śmiertelnej powagi. A tego można dokonać tylko na bezdechu. Tylko z ceremonialnie wydętą klatką piersiową i posłusznie napiętą przeponą. Tylko w odcięciu od ciała, któremu być może właśnie zdrętwiała noga. Które między dziesiątą a jedenastą stroną traktatu o poznaniu wychodzi do toalety. Które rozładowuje zmywarkę. Które potrzebuje innych ciał i jest tym ciałom coś winne. Które rozśmiesza i kocha być rozśmieszane. Na taką krytykę rzeczywiście szkoda energii.

Jaką literaturę filozoficzną mogłaby wyprodukować matka noworodka? W nieżnośne noce naznaczone mękami ząbkowania, w kolejce do lekarza, z żabiej perspektywy maty edukacyjnej, w czasie rajdu wózkami po nierównym chodniku, w rękę z blenderem, aspiratorem, chusteczką nawilżającą? Pośród ciągłych modlitw, by już zasnęło, zjadło, wyzdrowiało, by już nie bolało, by się zrosło i wchłonęło, a przede wszystkim, by nie zabrakło kawy. Czy byłaby to seria haiku? Szalona poezja rodem z forów dla matek? Serie glosolalicznych aforyzmów? Z ulgą czytam Mirę Marcinów, piszącą fragmentami jak Roland Barthes – lecz nie z konieczności filozoficznej, tylko czysto technicznej. Gdy jesteś matką, nie masz czasu, by mówić długo, ani motywacji, by przestrzegać gatunkowych reguł. Łączysz w swoim doświadczeniu zbyt wiele piętér rzeczywistości. Strumień twojej energii, choć wzmożony, rozdziela się na dziesiątki drobnych strużek. Napływa naprzemiennymi falami otępienia i euforii. Głowa, poza funkcją znaku orientacyjnego dla dziecka, wydaje się służyć przede wszystkim do tego, by wychodziły z niej włosy, uparcie rosnące wciąż jednak na nogach. To nie znaczy jednak, że nie myślisz. Myślisz ciągle: całym matczynym ciałem.

Jaka zatem byłaby filozofia pisana nie w bibliotece, nie przy biurku, lecz w tym dziwnym terenie, bardziej nieraz egzotycznym dla badaczy niż Wyspy Trobriandzkie: spod sterty prania, sponad przewijaka, pomiędzy pólek w Rossmannie? Filozofia, której nie ma czasu pisać. Filozofia technicznie niemożliwa, świadectwo, którym – jeśli chcesz je sporządzić – trzeba by jakoś sprytnie oszukać rozpędzone życie. Ale jeśli jakimś cudem by się jednak udało – czy zaczynałaby się od ontologii? Od krytyki języka? A może raczej, jak myśl Emmanuela Levinasa, od etyki? Czy byłaby zainteresowana możliwościami poznania? Czy dałaby się zbić z tropu hasłem *mommy brain*,

jak niegdyś diagnozą histerii? Czy może – uzbrojona już w informacje o wczesnych źródłach narcyzmu – miłościwie wybaczyłaby wszystkim filozofom świata ich bufonady, obsesje, ich obronnie nadęty *academic brain*? A może wzięłaby za wzór schizoanalizę? Może wypracowałaby własny język, z osobliwym zestawem metafor, w którym pobrzmiewałyby terminy takie jak *Depulol*, *Sudocrem* lub nawet *La Roche-Posay*? A przede wszystkim: czy byłaby w ogóle filozofią pisaną?

A przecież pytać można dalej: jakie systemy myślowe i jakie sposoby ich dystrybucji powołałoby do życia wszyscy w podobnej sytuacji – niewidoczni, niepiszący, a może nawet niepiśmienni, niechadzający do bibliotek i niedomagający się uwagi w mediach społecznościowych? Wykonujący mrówczą pracę kapłani ścierek („Zdarza się przecież, że ktoś zwymiotuje” [*Szczeliny istnienia* 128]), pokorni sprzątacze, ciała oddane służbie innym ciałom, babki i ciotki wciąż zajęte podtrzymywaniem świata w istnieniu, bezimienne mistrzyni koronkowej roboty, która nie kończy się żadną władzą. To o ich sile, przywołując obraz wrzосу, Brach-Czaina napisze: „Chodzi o subtelną stronę zdarzeń, której, mimo naszej gwałtowności – być może – świat zawdzięcza trwanie” [*Błony umysłu* 18].

I choć to wcale nie tak zwane zwroty w humanistyce – ku antropologii codzienności, ku ciału, ku filozofii opieki, ku zagadnieniom posthumanistycznym – zdecydowały o kształcie myśli autorki, mimochodem wciela ona ich ducha w swoje teksty, bez pretensji i bez wysiłku realizując zawarte w nich postulaty. Każę zacząć uprawiać filozofię tego, co niewidoczne, choć niezbędne, jak powietrze, któremu poświęca jeden ze swoich esejów. Postuluje, by przyrzeć się zwykle pomijanej w obserwacji osnowie życia, hasłom nieobecnym w katalogach, detalom z pozoru zakłócającym filozoficzną pracę, a więc konsekwentnie przeoczonym; temu, co jest „jak uwiązana w domu kobieta, stale na miejscu, dla potrzeby i wygody innych” [*Błony umysłu* 23].

Co ciekawe, służba, pokorne trwanie i codzienne zmagania z materią w nieodłączny sposób łączą się tutaj z humorem. Degradacja filozoficznej powagi nieoczekiwanie uwalnia z ciał i przedmiotów ogromne pokłady energii. Myśl, która pobłądziła na manowcach abstrakcji, nagle ożywa, ocucona świeżością konkretności. Wcześniej była do tego zdolna poezja, literatura, czasem antropologia. Powszedniość odkrywali dla nas na nowo – i po mistrzowski – Miron Białoszewski czy Anna Sobolewska. I choć sami filozofowie również w rozmaity sposób sięgali po przedmioty (Hegel miał swoje „fraki, korkociągi i obcinarki do świec” [Buck-Morss 14-15], Julia Kristeva – kożuch na mleku, a Jacques Derrida – kij do snookera), to czynili to zawsze jakby tylko ze słabości, z konieczności posłużenia się protezą, dla rozrywki lub dopełnienia obrazu odmalowanego jednak poważniejszą, godniejszą zaufania techniką. Brach-Czaina wierzy w pierwszej kolejności konkre-

towi, nawet jeśli ten uchodzi za niepoważny. Z przeszkody, z zakłócenia pracy naukowej czyni przedmiot właściwego namysłu, źródło mądrości: wiarygodne, nasycone uniwersalnymi treściami doświadczenie. A że robi to z najwyższą elegancją i – przynajmniej oficjalnym – szacunkiem dla akademickiego *decorum*, zaświadcza tym samym o formalnej dopuszczalności, a być może i konieczności takiego przekierowania uwagi. Demaskuje ważną oś zachodniej tradycji myślowej: podniesiony do rangi cnoty intelektualny strach przed ziemią, dołem i łonem oraz wynikające z niego odrętwienie języka i wyobraźni. Od razu podsuwa też receptę: podobnie jak Rabelais, proponuje złożyć pojęcia do grobu, by te, dotknąwszy ziemi, mogły narodzić się na nowo. Komentując *Gargantuę i Pantagruela*, Bachtin pisał:

Wszystkie rzeczy bada się i przecenia – w planie śmiechu, który pokonał strach i wszelką posępną powagę. I dlatego potrzebny jest dół materialno-cieleśny – jednocześnie i materializujący, i przynoszący ulgę, wesole. Uwalnia on rzeczy z oplatającej je fałszywej powagi, z wpojonych przez strach sublimacji i iluzji [510].

Nie chodzi przy tym o odcięcie się od tradycji filozoficznej, nawet jeśli z naszego punktu widzenia udziela ona cudzych odpowiedzi na cudze pytania. Jasne jest, że nie byłoby nas, gdyby nie nasi intelektualni poprzednicy. Uznając w sobie ich spadkobierców, musimy nieustannie mierzyć się – w tekstach i poza tekstami – zarówno ze wspaniałymi, jak i tragicznymi konsekwencjami budowanych przez nich systemów. Nie sposób jednak żyć, pozostając w roli „stróża starzyzny” [*Błony umysłu* 124]. Chodzi więc raczej o dostrzeżenie alternatywy dla dotychczasowych ścieżek myślenia i działania, o śmiały, krytyczny namysł nad tym, co budzi powszechne uznanie, o pielęgnowanie w sobie zdolności do metamorfozy – o stan, w którym „odrzućcane są skorupy, łuski, błony wewnętrzne” [124]. „Nie wahajmy się przyznać” – pisze Brach-Czaina – że „błony naszego ducha”, podobnie jak nasze macice, „wymagają zluszczenia” [125]. Dlatego nie ma również potrzeby oglądania się za siebie i szczycenia przypisami jak orderami. Jeśli już przywołujemy dawnych mistrzów i mistrzynie – to od niechcienia, jako ucieleśnionych, już włączonych w język, inkorporowanych, przetrawionych i włączonych w działanie, a w tym ożywieniu nieodróżnialnych od nas samych.

Choć macica jako fizjologiczno-fantazmatyczny obiekt i ekran męskich projekcji jest w filozofii zachodniej jak najbardziej obecna, to przecież samo doświadczenie posiadania macicy pozostaje dla owej filozofii ślepą plamką. Z tej ślepej plamki – materialnej, trzewnej, pulsującej życiem – Brach-Czaina czyni podstawę proponowanej przez siebie metody. Macica stanie się tu odpowiednikiem Rabelaisowskiego grobu, piekła i dołu, w który należy

zephnąć wszystko, co „quasi-wieczne, ograniczone, przestarzałe [...], ażeby umarło i narodziło się na nowo” [Bachtin 504]. Stąd ma się wyłonić to, co nowe, a co samo, za jakiś czas, poddane zostanie podobnej próbie.

Dlatego gdy czytam dziś umieszczony na okładce *Szczeliny istnienia* cytat z recenzji Zbigniewa Bienkowskiego, mówiący o „przejmującej żeńskości tego dzieła”, mam ochotę przeciwstawić temu zapisanemu jakieś dwadzieścia lat temu zdaniu inne, sformułowane już przez samą Jolantę, córkę Ireny, wnuczkę Bronisławy i prawnuczkę Ludwiki: „żarłoczne pytanie o relację człowieka ze światem domaga się kobiecej odpowiedzi, choć przeznaczona ma być dla wszystkich; formułowana z żeńskiego punktu widzenia, ale uniwersalna” [*Błony umysłu* 6]. I nawet jeśli powątpiewamy, by rzeczywiście istniało coś takiego, jak jeden żeński punkt widzenia, to z pewnością filozofia zachodnia – cała, nie tylko ta tworzona przez wciąż nie dość liczne kobiety – potrzebuje opowieści macicznych, laktacyjnych, rodzicielskich i opiekuńczych, pobrudzonych plamami z pokarmu, nadwyreżonych miłością, wyeksploatowanych, a to przecież znaczy: szyderczych i detronizujących – „nadających dynamikę całemu ruchowi w dół” [Bachtin 520].

Wszystko po to, by Hegel nie musiał obawiać się Kegla. Ani na odwrót. Może również po to, by w ogóle przestać się bać. By móc zamieszkać z powrotem we własnym ciele: tu, „gdzie wszystko jest namacalne, choć bywa niewidzialne” [*Błony umysłu* 57]. I gdzie „słowo o świecie dźwięczałoby inaczej – familiarnie, wesoło, nieustraszenie” [Bachtin 515] (podkreślenie moje – K.P.U.).

#### LISTA PRAC CYTOWANYCH

- Bachtin, Michaił. *Twórczość Franciszka Ra-belais'go a kultura ludowa średniowiecza i renesansu*. Translated by Anna Goreń, Andrzej Goreń, Wydawnictwo Literackie, 1975.
- Brach-Czaina, Jolanta. *Błony umysłu*. Wydawnictwo Sic!, 2003.
- . *Szczeliny istnienia*. Wydawnictwo eFKA, 2006.
- Buck-Morss, Susan. *Hegel, Haiti i historia uniwersalna*. Translated by Katarzyna Bojarska, Wydawnictwo Krytyki Politycznej, 2014.
- Kącka, Eliza. „Alchemia codzienności”. *Znak*, no. 7-8, 2021, pp. 34-37.
- Tutak-Goll, Monika. „Co nam zabrał mop. Rozmowa z Jolantą Brach-Czainą”. *Gazeta Wyborcza. Duży Format*, 27 listopada 2014, <https://wyborcza.pl/duzyformat/7,127290,17027178,co-nam-zabral-mop-rozmowa-z-jolanta-brach-czaina.html>.



ABSTRACT Katarzyna Przyłuska-Urbanowicz

## **Impossible Philosophy. Jolanta Brach-Czaina, Academy and the Material Lower Bodily Stratum**

This text is a humorous, literary-philosophical reflection on childbirth, the postpartum period and parenthood as experiences undermining the established Western ways of treating subjectivity and questioning the traditional way of practicing philosophy. Following Jolanta Brach-Czaina, the author looks at the literal and metaphorical power of the lower half of the body, despised by philosophers. Attempting to answer the question about the sources of vitality and humor in Brach-Czaina's texts, she draws an analogy between her image of the uterus and the Bakhtinian concept of the "material bodily lower stratum" in François Rabelais' novel.

**keywords:** philosophy, Jolanta Brach-Czaina, François Rabelais, Mikhail Bakhtin, body, childbirth, uterus, everyday life, material lower bodily stratum